

Brutalne zabójstwo w centrum Warszawy  
i śledztwo, które odkrywa więcej  
niż jedną tajemnicę...

MAŁGORZATA  
SOBIESZCZAŃSKA

**NIE MA MNIE**

LIRA  
WYDAWNICTWO

**NIE MA MNIE**



MAŁGORZATA  
SOBIESZCZAŃSKA

# NIE MA MNIE

L i R A  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2026

ISBN: 978-83-68577-76-1

To takie łatwe. Pstryk. Nie ma mnie. Zniknęłam.

★

Nie widziała go... trzy lata? Więcej. Będzie co najmniej cztery. Niewiele się zmienił. Ta sama pustka w oczach. Pozornie ujmująco nieśmiały. Jakby go nie było. Może właśnie tego chciał — pozostać niezauważonym?

Naraz poczuła znajomy ból, jakby uderzył ją w brzuch. Skuliła się. To tylko zdjęcie, nie może jej już osiągnąć. Zrobiło jej się niedobrze. Cały obiad podszedł jej do gardła. Pobiegła do łazienki. Zdążyła. Zwymiotowała wszystko. Leciąło z niej samo, całe pełne upokorzeń i przemocy życie. Z facetem, którego zdjęcie pojawiło się przypadkowo na jej Facebooku.

★

Płonęła Syberia i płonął amazoński las deszczowy. Topiła się Grenlandia. Na całym świecie fale upałów i susze krzyżowały się z powodziami i uderzeniami mrozu. Temperatura ziemi w ciągu ostatnich trzech stuleci podniosła

się o półtora stopnia, a lipiec tego roku był najcieplejszy w historii pomiarów, czyli od ponad stu czterdziestu lat. Naukowcy z całego świata pisali alarmujące raporty, z których wynikało, że zostało nam co najwyżej kilkadziesiąt lat — trzydzieści, może czterdzieści — potem ziemia przestanie istnieć. A przynajmniej życie na niej takich organizmów jak *Homo sapiens*. Tymczasem w Nieporęcie najważniejsza była Pigoniowa, która staranowała w nocy drzwi zakładu fryzjerskiego, umyła sobie włosy, zaparzyła kawę, po czym beztrząsco zasnęła na fotelu, gdzie rano zastała ją zdumiona fryzjerka, Ewa. Natychmiast zadzwoniła do właścicielki, a dopiero potem powiadomiła o zajściu policję. I teraz świeżo obudzoną Pigoniową zajmowali się Magda i Mariusz — dzielnicowi, funkcjonariusze miejscowej komendy — oraz zbudzona przedwcześnie, nieco skacowana właścicielka zakładu.

— Ile?

— Ponad trzy promile. — Mariusz odłożył alkomat.

Pigoniowa powoli dochodziła do siebie, rozglądała się zdumiona, jakby sama potrzebowała odpowiedzi na pytanie, co ona tutaj robi.

— W taki upał? Dziw, że jej szlag nie trafił w tym słońcu. — Magda się skrzywiła.

— Co robimy? — Mariusz, chociaż starszy stopniem, zerknął niepewnie na koleżankę.

Wzruszyła ramionami.

— Pigoniową na posterunek. Niech wytrzeźwieje. Właścicielkę i fryzjerkę wezwiemy na przesłuchanie. Niech Mucha i Janicki się nimi zajmą.

Mariusz uśmiechnął się do siebie z satysfakcją. Chętnie odda Pigoniową innym, nie miał ochoty babrać się w jej sprawie. Za każdym razem, kiedy zdarzało mu się

spisywać jej zeznania, miał wrażenie, że sam jest po kilku głębszych, i to mocno mocnych.

— Idziemy! — Złapał Pigoniową pod ramię.

— Co jest?! — Pigoniowa usiłowała odzyskać pion.

— Kradzież z włamaniem — wyjaśniła jej Magda. — Dziesięć lat więzienia — uzupełniła z niezrozumiałym zadowoleniem.

— Co?! — Pigoniowa nieco wytrzeźwiała. — Jaja sobie robicie?

— Nie gadać. Wychodzimy — zadysponował Mariusz i zdecydowanie ruszył z chwiejącą się kobietą do wyjścia.

Pigoniowa dała się wyprowadzić, już nie protestowała. Z bogatego doświadczenia wiedziała, że lepiej wyjdzie na całej sprawie, kiedy podporządkuje się funkcjonariuszom. Bywała u nich regularnie, w krótkich przerwach między odsiadkami. Kodeks karny знаła niemal na pamięć — gdyby nie życiorys, mogłaby być adwokatką albo prokuratorką.

Magda przyglądała się jej z niechęcią. Nie chodziło przy tym o samą Pigoniową, której pijacka fantazja ją bawiła, ale o zakres spraw, jakimi zajmowała się przez ostatnie miesiące. Tydzień wcześniej syn Pigoniowej, zwany powszechnie młodym Pigońcem, który najwidoczniej wyobraźnię odziedziczył po matce, wparował na stację benzynową i upierał się, że musi zapłacić za paliwo. Przydreptał tam piechotą, nigdy nie dorobił się prawa jazdy ani tym bardziej samochodu. Co mu strzeliło do głowy, żeby płacić za benzynę, której nie tankował i poza wszystkim kompletnie do niczego nie potrzebował, nie wiedział nikt. Również sam młody Pigoń, który po wytrzeźwieniu ze zdumieniem wysłuchał opowieści o swojej brawurowej wyprawie na stację.

„Przynajmniej na dziś koniec”, pomyślała Magda z ulgą, odstawwszy Pigoniową do komendy. Całą noc rozważała, jak spędzi wolny dzień, wahając się między wyprawą do Warszawy a wyjściem nad zalew. Ale gdy dotarła do domu, jedyne, na co miała ochotę, to leżenie na sofie w towarzystwie dwóch kotek, Safony i Persefony. I kiedy zastanawiała się, głaszcząc mechanicznie zwierzaki, co takiego zrobiła albo co zaniechała, że znalazła się w takim miejscu życia, zadzwonił jej telefon.

★

— Nie wiem... Już nic nie wiem...

Miała rozbiegany wzrok i ledwo trzymała się na nogach. Według dokumentów dopiero skończyła pięćdziesiąt lat, ale wyglądała na znacznie więcej, co najmniej siedemdziesiąt. Siwe włosy, brak jakiegokolwiek makijażu, paznokcie, z których schodził lakier, i luźny, wytarty dres tylko potęgowały to wrażenie. Na twarzy miała czerwone wypieki, dłonie jej drżały.

Policjant podał jej kubek z wodą.

— Niech pani to wypije.

Piła szybko, jakby za nieposłuchanie groziła jej śmierć. Oddała mu kubek. Oddychała szybko i płytko. Policjant otarł pot z czoła. Gorąco stawało się nie do wytrzymania. Na Boga, mieszka przecież w Stegnie, nad Zatoką Gdańską, nie nad Morzem Śródziemnym! Znowu napełnił kubek wodą.

— Teraz wolniej.

Potulnie niespiesznie wypić podany płyn.

— Niech pani kilka razy głęboko i wolno nabierze powietrza.

Kobieta posłuchała i po chwili nieco się uspokoiła. W każdym razie dłonie przestały jej tak strasznie drżeć i nie rzucała już wokół siebie spojrzeń przerażonej sarny.

Wskazał jej krzesło.

— Chce pani jeszcze wody?

Pokręciła przecząco głową.

— Albo tak — zmieniła zdanie.

Nalał i jej podał. Trzymała naczynie w dłoniach jak koło ratunkowe.

— Teraz niech mi pani opowie po kolei, co się wydarzyło.

Za oknem widać było las i drogę nad morze. Pogoda sprawiła, że już od wczesnych godzin porannych na plaży nie można było znaleźć ani skrawka wolnego miejsca. Usłyszał okrzyki jakichś nastolatków, idących o tej porze na plażę, poczuł aromat grillowanych w pobliskich domach i barach ryb oraz mięs.

— Wakacje — westchnął policjant sam do siebie, zamykając okno. — Najpodlejszy czas w roku.

\*

Najgorsze są dobre dni. Miała wtedy wrażenie, że nagle na jej piersi spada wielkie, czarne ptaszysko, robi jej się coraz ciężiej, nie może złapać oddechu, a ptaszysko wyszarpuje jej serce i wątrobę. Bolało. Zawsze. Dlatego wolała unikać radości. Nie chciała, żeby jej się udało. Cokolwiek. A jeśli już, to nie mogła o tym opowiedzieć. Nigdy i nikomu. Czasami o tym zapominała. Tak było, kiedy dostała się na studia, i tak było, gdy spotkała... Nie. Nie teraz. Jeszcze nie. Nie będzie o nim myśleć. Ani

o niej. Nie może. Nie pozwala sobie na to. Zamknęła oczy. Kiedyś to wszystko przecież się skończy. Kiedyś przestanie tak strasznie boleć.

✱

Dłonie kobiety, wsparte o kubek z wodą, przestały drżeć, za to drżały teraz jej wargi.

— Wczoraj... Trochę się pokłóciłyśmy. — Otarła łyzy, wylewając nieco wody na podłogę. Natychmiast zerwała się z miejsca. — Przepraszam! Zaraz...

Machnęła uspokajająco ręką.

— Nic się nie stało. To tylko woda.

Usiadła. Znowu zapadła się w siebie.

— Inga umówiła się z jakimiś ludźmi, których tutaj poznała. Denerwowałam się... Wie pan, tyle rzeczy się słyszy... Nie chciałam, żeby z nimi szła...

Odetchnęła, żeby powstrzymać czający się szloch.

— Gdzie ich poznała?

— Na plaży. Grali w siatkówkę. Siedziałyśmy niedaleko. Zaprosili ją do jakiejś kawiarni czy baru. Nie chciałam, żeby z nimi szła... — powtórzyła. — Mamy tu wynajęte dwa pokoje w pensjonacie. Rano Ingi nie było... Musiała wyjść w nocy. Przez okno. Nie spała w łóżku, jest nietknięta.

Policjant zerknął na zegarek, minęła właśnie czternaście. Dziewczyna mogła bawić się w nocy, może gdzieś zasnęła i zaraz pewnie się odnajdzie.

— Na pewno pani do niej dzwoniła.

— Zostawiła komórkę w pokoju.

— Może już wróciła do pensjonatu?

Kobieta pokręciła przecząco głową.

— Poprosiłam właścicielkę, żeby dała mi znać, gdyby Inga się pojawiła.

Siedziała bezradna, wpatrzona w podłogę. Policjantowi zrobiło się jej żal.

— Ma pani zdjęcia córki?

Skinęła i podała mu swój telefon.

— Ile lat ma pani córka? — Uniósł zdumiony brwi na widok ładnej kobiety, na pewno nie nastolatki, czego spodziewał się po rozmowie.

— Dwadzieścia cztery.

I spędzała wakacje z mamą? Policjant się zdziwił, ale swoje zdziwienie zachował dla siebie. Wyciągnął formularz. „Osoba zaginiona kategorii II...”

\*

Impreza rodzinna zaczęła się zwyczajnie, aż nagle konwersacja zachwiała się niebezpiecznie i skręciła w stronę katastrofy.

— Ale jak to?... — Mama Magdy, Beata, rozglądała się bezradnie, patrząc na pozostałe osoby siedzące przy stole, jakby ktoś z nich miał czarodziejską różdżkę, mogącą wymazać z rzeczywistości słowa, które przed chwilą padły.

— Właśnie, właśnie... — mruzczał ojciec Magdy, pochrząkując niepewnie.

— I tak już na zawsze? Na zawsze? Zawsze? — Ciocia brzmiała jak płyta, która się zacięła.

Jedynie wujek Waldek, brat mamy Magdy, kontynuował niezrażony konsumowanie sałatki śledziowej, wyjątkowo jego zdaniem udanej, przepijając ją kolejnymi setkami, które znikwały niezauważone przez zajęętą świeżą plotką żonę.

— Co zrobiłam źle?! — zawołała nieoczekiwanie z rozpaczą mama Magdy w stronę córki.

— Dlaczego źle? — zdziwiła się Magda. — Co w tym złego?

— Nie kłóć się z mamą. — Tata wyrzucił gwałtownie ręce do góry. — Ona cię urodziła i wychowała!

— Ja się wcale...

— Może da się jeszcze odkręcić? — Wtrąciła ciocia.

— Jutro porozmawiam z komendantem! — ożywiła się mama.

— Nie jestem już dzieckiem...

Magda poczuła, że w jej oczach za chwilę pojawią się łzy. Tego tylko brakowało, żeby mama poszła do komendanta niczym do wychowawczynie na wywiadówkę.

— Ale my wciąż jesteśmy za ciebie odpowiedzialni — zgañił ją tata.

— Od dawna jestem pełnoletnia!

— No wiecie, tam jest więcej mężczyzn — odezwał się nieoczekiwanie wujek. W salaterce z sałatką dogrzebał się dna, wódka przyjemnie szumiała mu w głowie i zdecydował, że to czas, by dołączyć do rodzinnej debaty.

Wszyscy zamilkli, przetrawiając jego słowa.

— Oni są niebezpieczni... — wyszeptala mama Magdy ze zgrozą.

— No to przecież nie wszyscy — zdziwił się wujek. — Zdecyduj się: ma ich unikać czy znaleźć męża? Albo, albo.

Cisza.

— No tak czy nie? — zniecierpliwiał się wujek.

Magda uśmiechnęła się nieznacznie i spojrzała na niego z wdzięcznością.

— No wiesz... — Tata Magdy najwyraźniej zupełnie nie wiedział, co powiedzieć, ale czuł, że musi się odezwać.

— Tutaj są znajomi. — Beata z hukiem odstawiała na stół kubek, rozlewając nieco herbatę. — A tam co? Sami obcy... — wysyczała niczym wąż.

— I kogo znajomego dla niej tutaj widzisz? Starego Burasa czy może młodego Pigionia?

Pigoń przesądził sprawę.

— Ale co ty tam będziesz, dziecko, jeść? — Zmartwiła się mama, atakując z nowej strony.

— Z tego, co wiem, jest w Warszawie kilka sklepów.

— Nawet, wyobraź sobie, Beatko, więcej niż u nas. — Wujek wsparł Magdę.

— A co ta wódka tak szybko zniknęła? — zainteresowała się nagle zawartością butelki ciotka.

Wujek błyskawicznie rozlał resztę, po sprawiedliwości, do wszystkich kieliszków.

— Za awans Magdy! — zawołał, unosząc swój.

— I oby znalazła tam w końcu męża... — Toast mamy zabrzmiał nieco melancholijnie. — Przeszanę się wtedy wreszcie tak o nią martwić. Niech już mąż się martwi...

Wypili. Magda spojrzała na rodziców. Wiedziała, że są przestraszeni, naprawdę się o nią boją. Ile batalii kosztowało ją przekonanie ich, że fakt, iż z nimi nie mieszka, nie znaczy, że ich nie kocha. A przeprowadziła się tylko do sąsiedniej wsi. Teraz sprawa była poważniejsza. Właśnie zaproponowano jej pracę w Warszawie. I tak poszło całkiem łatwo, łatwiej, niż przypuszczała. Zależało jej na tej pracy. I dobrze wiedziała, komu tę propozycję zawdzięcza...

Właściwie żadna z nich nie umiała powiedzieć, dlaczego wciąż kontynuują tę tradycję. Mama upiekła tort, robiła go dwa dni, przygotowała wystawną kolację, którą spokojnie mogłaby obsłużyć całą klatkę, a na stole czekał zapakowany w czerwony papier prezent. Aneta kończyła trzydzieści sześć lat. I jak co roku spędzała ten dzień z mamą. Wcześniej, dawniej, był z nimi jeszcze tata.

— I kiedy mi cię przynieśli, tak strasznie płakałam... — To również należało do ich rytuału. Co roku mama wspominała cały poród, od momentu, gdy odeszły jej wody płodowe, do chwili, kiedy pielęgniarki dały jej niemowlę do karmienia.

Aneta otworzyła butelkę wina.

— I tym sposobem od trzydziestu sześciu lat jestem na świecie — podsumowała i upiła łyk alkoholu.

Mama sięgnęła po swój kieliszek.

— Nie chcesz zobaczyć prezentu?

Aneta niepewnie sięgnęła po pakunek. Trochę obawiała się tego, co jest w środku. Rozwiązała kokardę, rozdarła papier...

— Piękny, prawda? — Mama uśmiechała się, zadowolona, zaglądając jej w oczy.

Aneta trzymała w ręku kuchenny fartuszek obsyty obficie falbanką.

— Prześliczny — zapewniła pospiesznie.

— Pomyślałam, że przyda ci się w nowej kuchni...

Miesiąc wcześniej Aneta się przeprowadziła. Wytrzymała jeszcze pół roku w kawalerce, która codziennie przypominała jej o śmierci Doroty. Czuliła się winna. Śmierci i oszustwa. Oszukała ją, że mogą być razem.

Gdyby wcześniej jej to powiedziała, gdyby miała odwagę, być może dziś Dorota... Nie. Nie chciała o tym myśleć. Spojrzała na mamę, która nie przestawała mówić.

— I oczywiście jadą na Kretę — dotarł do niej jej świrdrujący głos. O kimś opowiadała. Aneta nawet nie próbowała odgadnąć, o kim. — A córka Joli...

Aneta ponownie się wyłączyła. Miała nieodparte wrażenie, że mama mówi cokolwiek, byle zagadać ciszę, byle tylko nie pojawiło się przy stole milczenie. Sięgnęła po kawałek tortu.

— Poczekaj! — wykrzyknęła mama i poderwała się z krzesła. — Świczki!

Wyjęła z szuflady dwie świczki w kształcie cyfr trzy i sześć.

— Dla mojej ukochanej córeczki... — Ustawiła je na torcie i podpaliła knoty. — A teraz pomyśl życzenie.

O czym ona mogła marzyć? Już tak dawno nie zadawała sobie tego pytania, że nagle poczuła się zaskoczona. Więc w ogóle można mieć życzenia? Jakie? Żeby Dorota ożyła?

— Pół roku temu... Nie, trochę więcej. Prawie osiem miesięcy temu ktoś zabił moją kochankę — powiedziała nagle. — Albo myślał, że to ja, albo chciał mnie nastraszyć. Wszystko jedno. Zginęła przeze mnie.

Mama patrzyła na nią oszołomiona. Szybko się opamiętała. Uśmiechnęła się.

— Ty to masz pomysły. No już. Pomyśl życzenie i zdmuchnij świczki.

— Mamo, już dawno chciałam ci to powiedzieć. Jestem lesbijką.

— Oj tam, te wasze nowomodne żarty. Dmuchaaj.

— Miałam kochankę. Niejedną. Ale tę jedną ktoś zabił.

— Dmuchał te cholerne świece!  
— Dlaczego mnie nie słuchasz?  
— A dlaczego ty mnie nie słuchasz?! Dmuchał, do cholery!

— Mamo, ktoś zabił moją kochankę! To była moja wina!

Kobieta zasłoniła sobie dłońmi uszy.

— Nie słucham cię! Nie słucham cię! La, la, la!

W Anecie coś naraz pękło. Wstała.

— Mamo, jestem lesbijką! Podobają mi się kobiety!

Matka opuściła dłonie, przez chwilę stała bez ruchu, a potem nieoczekiwanie uderzyła Anetę w twarz.

— Nie waż się więcej tak mówić!

Złapała się za policzki. Bolało. Ale jeszcze bardziej zabolęło upokorzenie. Odwróciła się i po prostu wyszła z mieszkania matki.

★

— Chanel numer pięć... Chanel numer pięć... — podśpiewywała zadowolona Basia, obracając się przed lustrem i psikając perfumami na wewnętrzną stronę nadgarstków.

Wróciła właśnie od fryzjerki, zdążyła jeszcze poprawić makijaż, gdy January przyszedł z perfumami. Tego ranka dzieci wyjechały na wakacje nad morze z rodzicami Basi, a oni mieli trzy tygodnie tylko dla siebie.

— Zawsze chciałaś... — powiedział January, wręczając jej flakonik.

Zdziwiła się. Naprawdę. Nie spodziewała się. Już chciała zapytać o cenę, gdy położył jej dłoń na ustach.

— Ani słowa o pieniądzech.

Skinęła. Nikt nie znał jej tak dobrze jak on. Czytał jej w myślach.

— A teraz bądź moją Marilyn Monroe...

Basia, stojąc przed lustrem w łazience, wolno zsunęła ramiączka stanika. Poczowała się jak kotka, która dostała właśnie najtłustszą śmietankę.

Kiedy leżeli później w ciemności, nadzy, otuleni zapachem Chanel numer pięć, wszystko stało się tak idealne, że Basia nie wytrzymała — rozplakała się. January przytulił ją mocno, chowając jej twarz w swoim ramieniu. Szlochała rozpaczliwie. January czekał, wciąż trzymając ją blisko siebie. W końcu jej szloch osłabł.

— Boję się.

— Wiem.

— Nie dam rady, January...

— Może pójdziesz na terapię?

Wyrwała mu się. Wstała wściekła, zabierając koc, którym szybko się owinęła, by zasłonić nagość.

— Jak tylko coś się dzieje, każesz mi iść do specjalisty!

January wstał, złapał ją za ramiona i spojrzał jej w oczy.

— Chcę ci tylko pomóc. Nie wiem, jak mam to zrobić. Możemy iść razem.

Przez chwilę patrzyli na siebie w napięciu. W oczach Basi widział rozpacz i bezradność. W końcu położyła głowę na jego ramieniu i się przytuliła. Jak dziecko.

\*

Mucha leniwie przeglądał Tindera. Blondynka, po rozwodzie, w odległości trzech kilometrów od niego. Duże usta. Mhm... Prawo. Ruda, dwa koty... Nie czytał dalej. Lewo. Nie lubił rudych. Najbardziej podobały mu się

blondynki, ale nie gardził też brunetkami. A rudych się zwyczajnie bał. Szatynka, wolna, lubi zabawę — prawo...

Trzask! Ktoś wszedł do komendy. Mucha niechętnie odłożył telefon i podniósł wzrok. W jego stronę szło małżeństwo, chyba małżeństwo, kobieta i mężczyzna, koło sześćdziesiątki. Wyglądali na spłoszonych, przestraszonych. Kot im zaginał czy chłopak ich okradł metodą na wnuczka? Piknął dźwięk w jego telefonie. Któraś laska z aplikacji randkowej odpowiedziała. Ciekawe która i ciekawe, co napisała. Para podeszła do niego. Musi się ich szybko pozbyć.

— Dzień dobry... — odezwał się mężczyzna i chrząknął.

Mucha skinął.

— No, co tam? — powiedział zachęcająco. Chciał to mieć jak najszybciej za sobą.

— Chcieliśmy zgłosić zaginięcie córki — powiedziała jakby z gniewem kobieta.

Mucha westchnął, sprawa była z tych poważniejszych, których nie mógł zlekceważyć. Zerknął tylko przelotnie na swój telefon. Ma nową parę, z Blondyną. Uśmiechnął się, ale natychmiast zgasił uśmiech, przybierając służbową postawę.

— Dowody poproszę.

Podali. Maryna Kropisz i Antoni Kropisz. Zgadza się, małżeństwo. Ona sześćdziesiąt dwa lata, on sześćdziesiąt.

— Nazwisko córki?

— Emilia Dobraczewska.

Dopiero teraz to zauważył. Zameldowani w Warszawie, zamieszkali w Konstancinie Jeziornej. „No to jednak będzie szybka piłka”, pomyślał z satysfakcją.

— Niech państwo zgłoszą zaginięcie w Warszawie.

— Ale ona wyjechała wczoraj do Nieporętu — powiedział mężczyzna, Antoni. — Napisała, że dojechała, i od tego czasu nie mamy z nią kontaktu.

— Przyjechaliśmy dziś jej tu poszukać. Nikt jej nie widział.

— Dlatego przyszliśmy do pana — uzupełnił mąż.

Piknął telefon Muchy, zerknął. Blondyna napisała. Diabli nadali tych Kropiszów akurat teraz.

— Może jest u kochanka? — zasugerował. Żaden inny powód najzwyczajniej nie przyszedł mu do głowy.

— Córka ma męża — odezwała się z godnością kobieta, Maryna.

No to akurat o niczym nie świadczy. Mucha miał naprawdę bogate doświadczenie z aplikacjami randkowymi.

— Na stałe mieszka w Danii, z mężem i synkiem. Przyjechali do nas na pogrzeb mojej mamy — wyjaśniał Antoni Kropisz. — Zięć wyjechał z wnukiem w sobotę, Emilka została, chciała jeszcze pojechać z przyjaciółmi do Nieporętu. Na dziś miała wykupiony bilet na samolot.

— To może odleciała? — powiedział zniecierpliwiony, zerkając jednocześnie na swój telefon. Ciekawe, co napisała Blondyna...

— Zięć wyszedł na lotnisko w Kopenhadze. Nie doleciała.

„Rany koguta!”, zawyło wszystko w duszy Muchy. Jak nic dziewczyna urwała się na romans, niszcząc jednocześnie szansę na jego obiecująco zaczynającą się znajomość z Blondyną! To właśnie nazywa się złośliwość losu.

— A znajomi, z którymi była w Nieporęcie?

— Nie widzieli jej. Dojechała, ale się z nimi nie skontaktowała.

„No to trochę głupio to urządziła. Trzeba było lepiej przygotować sobie grunt, żeby romans nie doszedł do wiedzy męża”, zdążył pomyśleć Mucha.

— Od dwóch dni nikt nie ma z nią kontaktu — powiedział twardo Antoni Kropisz i Mucha skapitulował. Szlag by to trafił...

Nagle wpadł na genialny pomysł.

— Muszę do toalety! — wykrzyknął i niemal wystrzelił w górę z telefonem w rękę.

★

Chodzi tylko o to, żeby zasnąć i już się nie obudzić. I żeby nie bolało. Zawsze bała się bólu. Kiedy stanęła na dziesiątym piętrze wieżowca i przełożyła nogę przez barierkę, wystraszyła się tego momentu, gdy uderzy w ziemię i poczuje ból roztrzaskującej się czaszki. Cofnęła nogę. Od tego czasu ma lęk wysokości. Cała zresztą jest zbudowana z lęków. Z lęków i poczucia winy. Zamknęła oczy. Może dziś się uda. Może dziś zamknie powieki, zaśnie i już się nie obudzi.

★

— Do kiedy zostajesz?

Magda patrzyła na siedzącego naprzeciwko Krystiana, bawiąc się jednocześnie trzymanym w dłoni kieliszkiem białego wina. Spotkali się w Tawernie, ale tym razem Krystian tu nie pracował — przyjechał na kilka dni z Dublina załatwić jakieś sprawy i odwiedzić rodziców.

— Za dwa dni wracam.